

Panie, zrobiłem właśnie rachunki. Teraz, przed Tobą, spróbuję odnaleźć trochę pokoju i ciszy.

I także trochę godności.

Tej godności, którą zżera mi dwadzieścia lat żmudnych obliczeń, „żeby związać koniec z końcem”.

Tego spokoju, którego za każdym razem pozbawia mnie strach, że w tym miesiącu „nie dam rady”.

Tego spokoju, który tak trudno zachować, gdy widzi się, jak głodowa pensja topnieje pomimo najskromniej zaplanowanych wydatków.

Panie, to właściwie nie nędzy tak się boję. W gruncie rzeczy zawsze jakoś tam będę żyć, lepiej czy gorzej.

Boję się upadku. Prawdziwego.

Że będę myśleć tylko o pieniądzach, właśnie dlatego, że ich nie mam.

Że będę bez przerwy przeprowadzać łatwe porównania z innymi, z tymi, którzy te pieniądze zarabiają. I będę to robić setki razy dziennie, przed wszystkimi wystawami i stoiskami.

Panie, boję się też zazdrości. Tego, że powiem jak tylu innych z niedobrym uśmiechem: „Oni to mają szczęście...”

Że będę nienawidzić.

I przy tym wszystkim, Panie, odkryłem, że jestem skąpy. Tego wstrętnego małego odkrycia, dokonanego dziś rano, nie mogę zapomnieć.

Dlatego mówię Ci o tym wszystkim. Żeby Cię prosić o łaskę prawdziwej godności.